

**Chcę**

Dwutygodnik

**Poznać**

popularno-

naukowy

**Nr. 1.****Wszystko**

22 grudnia 1928 r.

Cena 30 gr.

\*

Rosną coraz bardziej szeregi tych chłopów, którzy zrozumieli już ostatecznie, że jedynie ludzie związani bezpośrednio z masą chłopską zdolni będą wytworzyć szczerzy chłopski ruch masowy — jedyną skuteczną broń w walce o lepszą przyszłość mas chłopskich. W związku z tem zrozumieniem narasta w owych szeregach chłopskich coraz silniejsza potrzeba rychłego uzupełnienia tych okruchów wiedzy, jakie można było zdobyć w młodym wieku w jedno lub conajwyżej dwuizbowych szkółkach wiejskich. A tymczasem niema obecnie w Polsce ani jednego popularnego pisma naukowego odpowiedniego dla tych właśnie rosnących szeregów chłopskich, niema odpowiednich książek, brak zupełnie dobrze dobranych biblioteczek, nikt nie idzie na wieś z odczytami poruszającymi w sposób jasny niezbędne dla świadomego chłopca zagadnienia.

W głębokiem zrozumieniu, że wypełnić te wszystkie braki może skutecznie jedynie organizacja kierowana przez samych chłopów, garść oświatowców założyła ostatnio w Warszawie spółdzielnię oświatową „Światło”. Na końcu numeru piszemy szczegółowo o powstaniu wymienionej spółdzielni.

My ze swej strony postanowiliśmy przystąpić niezwłocznie do wydawania popularnego dwutygodnika naukowego, któryby szerzył wiedzę w zgodzie z żywotnymi interesami życia mas chłopskich.

Nie składamy szumnych obietnic. Dajemy poprostu do Waszych rąk, Czytelnicy, pierwszy numer. Wy sami osądźcie, które artykuły odczytaliście z zaciekawieniem, a które wydały Wam się zbyteczne, które napisane były w sposób jasny, a które zbyt zawile. Tylko wyroku swego nie schowajcie dla siebie. Donoście nam jaknajczęściej, co w naszym piśmie dojrzycie złego, podsuwajcie sami sprawy, które chcielibyście mieć wyjaśnione i omówione.

Czekamy na Wasze poparcie i wskazania.

REDAKCJA.

001/05



# Śnieżne bohaterstwa

(Pamięci R. Amundsena)

Wyobraź sobie, czytelniku, że już panuje tęga zima. Wokoło, jak okiem sięgniesz — widać tylko biały, błyszczący śnieg. Ani lasu, ani drzew, ani krzaczka choćby jednego, ani wsi, ani chałupy, ani żywej duszy — Nic — tylko pusta, śnieżna równina. I wyobraź sobie, że chodzisz sam jeden po tym pustym, śnieżnym bezmiarze — godzinami, dniami, tygodniami — i wciąż aż do znudzenia widzisz to samo — śnieg i lód, lód i śnieg. I cisza wokoło śmiertelna. Co najwyżej wicher się zerwie, rozdmucha śnieżną zawieruchę — rozhula się po lodowej równinie — usypie zasy, wyłobi jamy głębokie i znów zmilknie, a wtedy słoneczna światłość rozleje się po tej pustyni lodowej, rozbłyszczą się w drobnych płatkach śnieżnych — aż oczy bołą od blasku! I tak całe miesiące przechodzą. Lata, wieki całe panuje tu mróz, śnieg, lód, pustkowie i cisza. Dziwny to kraj! W porze letniej nie ściemnia się tu przez kilka miesięcy — w porze zimowej noc bez przerwy trwa, bez brzasku, bez zmerzchu tygodnie, miesiące. A wtedy gwiazdy błyszczą iskrzące, lub księżyc chłodnym światłem oblewa nierówną powierzchnię zwałów lodowych, zasp śnieżnych. A wszystko wtedy wygląda dziwnie, odmiennie, nieswojo. Góry lodowe sterczą niby zamki zaczarowane, niby miasta zamarłe, przykryte na wieki śnieżnym pokryciem. Aż strach mrozi:

Czasami możesz być znowu świadkiem zaiste cudowne zjawiska. Oto na niebie ciemnogrnatowem zjawia się jakieś lśnienie, jakaś światłość nieokreślona, niby łuna dalekiego pożaru — lecz z odcieniem zielonawym, przezroczystym... To „zorza polarna“.

Gdzież to ten dziwny kraj — zapytasz się, ciekawy czytelniku — gdzie takie cuda, takie „ogniste znaki“ na niebie od wieków się dzieją w mroźnym, bezludnym pustkowiu, nikogo nie strasząc, nikogo nie przerażając, nic złego nikomu nie wróżąc: ani głodu ani wojny, ani morowego powietrza? W jaki sposób, którądy można się dostać tam? I kto to wszystko widział?

Otóż dwa są na ziemi takie kraje: jeden na północy, drugi na południu naszej kuli ziemskiej. A dostać się do nich można w taki sposób. Wyobraźcie sobie, że kilku z nas, mając dużo woli upartej, pieniędzy, czasu i nic innego do roboty — umówi się, że będziemy ciągle iść przed siebie, kierując się ku północy, tylko ku północy. A dalej przypuścmy, że każdy z nas wyszedł z innego miejsca na ziemi np. jeden z Polski, drugi z Syberji, trzeci z Ameryki.

Cóż nam z takiej wędrówki przyjdzie, cóż się stanie? Biorąc na zdrowy rozum, nie powinniśmy nigdy się spotkać, bo idziemy w jednakową stronę i idziemy jeden od drugiego



daleko. I tak byłoby, gdyby ziemia nasza wszędzie była płaska, równa, jak stół. Ale ziemia jest kulą, a na kuli ziemskiej te wszystkie ku północy idące drogi nasze przecinają się, zbiegają się w jednym miejscu — które nazwano biegunem. Lepiej to można zrozumieć, jeżeli na jabłku kulistem podobnie, jak ziemia, palcem zaznaczymy np. te trzy nasze drogi, prowadzące do ogonka (niby ku północy). Te trzy drogi właśnie w ogonku się zbiegną. Gdyśmy szli ku północy, to dojdziemy do bieguna północnego, ale można też iść w przeciwną stronę; na południe; jest jasne, że wówczas dojdziemy do bieguna południowego.

Dookoła tych dwu biegunów, znajdujących się na dwu przeciwnych krańcach ziemi, leżą tak zwane „kraje podbiegunowe“. Kraje te pokryte wiecznymi lodami zajmują ogromne obszary — z górą 15 milionów kilometrów kwadratowych t. j. dziesiątą część wszystkich na kuli ziemskiej lądów, więcej, niż cała Polska, a nawet więcej, niż cała Europa.

Rozległe te kraje znajdujące się na odludziu życia pozostawały przez długie wieki niezbadane. Chyba przypadkiem zagnany jakiś poławiacz fok z przerażeniem oglądał te okolice. Ciekawość ludzka potrafi jednak przemoc najgorsze niebezpieczeństwa. I człowiek—ów drobny, znikomy pyłek ziemi wobec ogromu świata — przeniknął rzeczywiście w te tajemne obszary. Wiodło go tam żyjące w nim pragnienie: wszystko poznać, wszystko zrozumieć i ze wszystkiego wydobyć naukę i jaknajwiększy pożytek nie tylko dla siebie, lecz i dla swoich bliźnich. Ale zwycięstwo zostało do-

konane w walce zaciętej, nieubłaganej.

Na nieskazitelnie białych obszarach krain podbiegunowych znaczone są drogi niejedną śmiertelną ofiarą śnieżnych bohaterów, co legli na wieki — zmożeni głodem, mrozem okrutnym lub straszną chorobą tych krajów: skorbutem.



Góra lodowa.

Szli do tajemniczego bieguna ludzie różnych narodowości, podając sobie bez uprzedzeń ręce pomocne, ginąc nawet, by ratować innych.

Szli w te śmiertelne walki ludzie gnani żądzą ambicji, chorobliwej pustej sławy dla siebie czy też dla swego narodu (jak np. ostatnia wyprawa generała włoskiego Nobile), lecz szli



też cisi, skromni uczeni gotowi każdej chwili swe życie poświęcić — nie dla zysku — bo i jakież tam zysk mógł ich oczekiwać w tych „najpustynniejszych pustyniach“ — lecz dla nauki, dla rozszerzenia naszych wiadomości o świecie i życiu. Dorzucali zdobytą śmiertelnym trudem wiedzę do uprzednio już zdobytej; ze smutnych doświadczeń i zdobyczy zwycięskich jednych — korzystali inni, następni. Jedni badali klimat, pogody, wiatry, jakie tu panują, drudzy starali się poznać i zrozumieć zjawiska cudowne na niebie (choćby tę zorzę polarną), wytłumaczyć i wyjaśnić, że to nie cuda żadne, tylko zwykłe naturalne zjawiska, inni rysowali mapy, badali głębokość morza, ziemię, skały, odkrywając pokłady węgla, rudy żelaznej, marmuru, drogiej platyny, fosforu.

Inni znowu poznawali zwyczaję tutejszych zwierząt, bo i tu, choć skąpo, pełni się jednak życie, szczególnie w pobliżu morza. Pełno tu tłustych fok, ryb, na które poluje biały niedźwiedź, posiadacz drogiego futra. Na brzegach spotkać można dziwne ptaki, co fruwać nie potrafią, ale zato doskonale nurkują — tak zwane „nieloty“, a nawet na skrajach tej lodowej pustyni, gdzie podczas krótkiego „lata“ ziemia odmarza, znajdziesz nagle rośliny. Żyją tu także ludzie zwani eskimosami, utrzymują się oni wyłącznie z polowania.

Każdy łatwo zrozumie, że takie wyprawy naukowe są bardzo kosztowne, wymagają specjalnie urządzonego okrętów, któreby dzielnie stały opór lodom i górcom lodowym, wymagają specjalnych przyrządów

naukowych, ubrań odpowiednich, zapasów żywności, lekarstw, sań, aeroplanów i t. d. To też z początku uczonym, którzy są przeważnie biedni jak z kamienia szło organizowanie takich wypraw. Trudno wyliczyć, ile zabiegów, bieganiny i zebraniny po różnych możliwych tego świata, ile przekonywań, tłumaczeń w gazetach trzeba było czynić, żeby wreszcie wyprawa doszła do skutku. Bogaci na naukę nie dadzą grosza, dopóki nie przekonają się, że ona im to natychmiast zwróci stokrotnie, bo kapitał — ich zdaniem — jest jedynie poto, aby dawał zyski jego posiadaczom. Kolumbowi — odkrywcy Ameryki — dano mizerne okręty dopiero wówczas, gdy przekonał, że przywiezie bogate łupy. Tak jest i teraz. Dopiero, gdy duch bankierów przeważał, że te wyprawy mogą przynieść dochody — węgiel, fosfor, platynę, że mogą skrócić komunikację\*) — zaczęto wysyłać wyprawę po wyprawie, znalazły się na to pieniądze. Obecnie nie tylko prywatne osoby finansują podobne wyprawy naukowe, lecz poszczególne państwa już współzawodniczą ze sobą w chęci zawładnięcia temi lodowymi pustyniami. Zaczyna się istny wyścig do biegunów.

\* \* \*

Wśród wszystkich „zdobywców“ biegunów najszcześniejszym okazał się norweg Roald Amundsen, jedyny, który za życia widział oba bieguny.

\* Podróż z Anglii do Japonii przez kanał panamski (Ameryka) wynosi 22.900 kilometrów, przez kanał Suez (Afryka) 20.600 kilometrów, a droga przez kraje polarne wyniosłaby 12.800 kl. — a więc prawie o połowę mniej.



W latach 1896—97, jako młody oficer (sternik), bierze udział w wyprawie belgijskiej na biegun południowy. W roku 1901 bada morza lodowe na niewielkim, jak łupina, żaglowcu „Gjøa“, a 1903 rok spędza wraz z sześciu towarzyszami wśród lodów, szukając wytrwale aż do roku 1906 przejścia północno zachodniego, skracającego drogę z Europy do Azji na północ od Ameryki. Bada w tym

W 1923 r. odbywa Amundsen podróż wzdłuż brzegów Syberji i zaczyna szykować wyprawę do bieguna północnego drogą powietrzną. Ale samolot Junkers psuje się i Amundsen ledwie wychodzi z życiem z tej wyprawy. Nie daje jednak za wygraną.

W lecie 1925 r. wraz z Allerworth'em rozpoczyna nowy lot do bieguna na sterowcu powietrznym,



Wyprawa Amundse na biegunie południowym.

czasie przyrodę podbiegunową i zaznajamia się z życiem eskimosów, od których uczy się, jak sobie radzić w ich krajach.

W dużej mierze dzięki tym właśnie naukom pierwszy staje 14 grudnia 1911 r. na biegunie południowym, zatykając w lodowej przestrzeni norweską flagę na parę tygodni przed tragicznie zmarłym z głodu — o 11 kilometrów przed składem z zapasami — angikiem Scott'em i jego towarzyszami.

lecz — niestety — znowuż nie dolatuje z powodu szalonej burzy śnieżnej. Następuje trzecia wyprawa na sterowcu „Norge“ w maju 1926 r. 12 maja 1926 r. o pierwszej w nocy dwukrotnie okrąży Amundsen biegun północny, poczem 14 maja ląduje z 13 ludźmi na północy Ameryki. Tu, wypoczywając po trudach wypraw, przelewa w książki obszerną swą wiedzę, opisuje swe doświadczenia i postanawia na zawsze zaniechać podobnych podróży.



W tym czasie ambitny włoski generał Nobile przedsięwzięcie dla sławy nową wyprawę do bieguna na sterowcu „Italia”. Nobile uczestniczył w wyprawie Amundsena w roku 1926 i zdobył nieprzychylny sąd o sobie ze strony Amundsena, jako amator, który wziął się do „niewłaściwej pracy” i omal nie spowodował katastrofy sterowca. Bez Amundsena katastrofa nie kazała długo na siebie czekać. 25 maja 1928 r. ginie „Italia”. Niechętnie, bo bez wiary, lecz tem nie mniej odważnie rusza wówczas Amundsen w śnieżną zawieję na ra-

tunek Nobilemu. Ale już nie wraca. Znalezione jedynie szczątki jego samolotu. Tak ginie znakomity znawca krajów polarnych, największy współczesny podróżnik,

Norwegja w uznaniu wielkich zasług Amundsena postanowiła uznać dzień 14 grudnia — dzień zdobycia przez Amundsena pierwszego bieguna — za święto państwowe. Jest to pierwszy wypadek w życiu narodów, że ustanowiono święto państwowe celem uczczenia zasług nauki.

K. W.

---

## Uroczystości Bożego Narodzenia w różnych religjach

Z chrześcijańskim świętem Bożego Narodzenia łączą się liczne, dobrze nam znane opowieści i obrzędy, których pochodzenie nie wszystkim jest wiadome. Skąd wzięła się data Bożego Narodzenia? Dlaczego nie żaden inny dzień, lecz właśnie 22, albo 25 grudnia? Skąd siano? Skąd opowieść o cieśli, opiekunie nowonarodzonego i t. d.? Na pytania te długo bądź zgoła nie umiano sobie odpowiedzieć, bądź też odpowiadano naiwnie, powtarzając to samo, co głoszą podania religijne. Sprawa wyjaśniła się wówczas, gdy uczeni badacze poznali nie tylko chrześcijańską, lecz i inne religje i porównali je między sobą.

Religja chrześcijańska bowiem nie jest ani pierwszą, ani jedyną religją na

świecie. Już na tysiące lat przed chrześcijaństwem były na świecie wielkie religje, których podania a często i obrzędy bardzo przypominały dzisiejsze podania i obrzędy chrześcijańskie.

W wielu tak zwanych pogańskich religjach znajdujemy opowieści o narodzinach jakowegoś boga, czy zbawiciela świata. I — rzecz ciekawa — wielu z tych bogów miało się narodzić w dzień chrześcijańskiego Bożego Narodzenia, to znaczy 25, względnie 22 grudnia... Egipski bóg Ozyrys, grecki bóg Adonis, syryjski bóg Mitra, hinduski bóg Agni, hinduski zbawiciel świata Manu, grecko-rzymski bóg Apollo i różni inni rodzili się wszyscy mniej więcej w tym samym czasie, kiedy chrześcijanie obchodzą święto Bożego Narodzenia.



Cóż to za data szczególna, tak przez różnych bogów umiłowana?

Rzeczywiście dzień to zupełnie wyjątkowy i jedyny w ciągu całego roku. W dniu tym na całej północnej półkuli globu ziemskiego — a więc w całej Europie, w Azji i w Afryce północnej, czyli właśnie w tych krainach, w których powstały znane nam religje — corocznie zachodzi wydarzenie jedyne.

Oto w jesieni w listopadzie i w grudniu — światła dziennego, błogosławionego światła słonecznego, bez którego ani człowiek, ani zwierzę żyć nie może — nieustannie i szybko ubywa. Dzień staje się coraz krótszy, noc zaś coraz dłuższe. Zdawaćby się mogło, że nadchodzi koniec życia wszelkiego, lub jak mówili ludzie religijni — że złe, djabelskie moce zapanowały nad światem, który pogrąża się w ciemności. — Ale od 22 — a według dawnych obliczeń od 25 grudnia — wszystko poczyna się zmieniać na lepsze. Dnia znowu przybywa. Pierwotny człowiek religijny, który wszędzie widzi działanie jakichś mocy boskich, powie o tem, że dobry bóg-słońce pokonał złe, djabelskie siły, co ciemności sprowadzały na ziemię, że odrodził się albo nawet, że narodził się na nowo.

Dzień 22, czy 25 grudnia jest więc dniem szczególnym, ale zgoła nie dlatego, że w dniu tym odbyło się naprawdę czyjeś narodzenie, lecz wprost odwrotnie: — kapłani różnych religij obierali ten dzień za datę bożego narodzenia, ponieważ jest to dzień odnowienia się słońca, czyli dzień zimowego przesilenia słonecznego, jak go nazywają astronomowie.

Słońce było najstarszem i najpowszechniejszem bóstwem na ziemi. Czczono je pod najrozmaitszemi imionami i przeróżne opowieści opowiadano sobie w różnych czasach i krajach o tym bogu życiodajnym i nieustannie zbawiającym świat ode złego.

W Egipcie starożytnym bóg słońce, zbawiciel świata, nazywał się Ozyrys, w Indjach nosił miano Agni, u Greków i Rzymian nazywał się Apollonem i t. d. Imiona były różne, ale zarówno obrzędy, jak opowieści, były bardzo podobne do siebie.

Bóstwem równie powszechnem, jak słońce, był ogień, czczony na całej kuli ziemskiej i uważany nawet za ziemskie wcielenie słońca. W podaniach religijnych bóg-słońce, zstępując do ludzi na ziemię, stawał się bogiem-ogniem. Bóg-ogień to był syn boga-słońca. Ten bóg-syn zstąpił na ziemię, aby przynieść ludziom pokrzepienie i aby ich zwolnić z mocy złych sił djabelskich. Tak głosiły prastare podania religijne.

Ale w czasach pierwotnych wywoływanie ognia zgoła nie było czemś tak łatwem i codziennem, jak dzisiaj — w czasach zapalek, które każdy nosi w kieszeni. Sztuka wywoływania ognia — to była święta tajemnica, posiadana i zazdrośnie broniona przez kapłanów.

W starożytnych świętych księgach hinduskich, o całe tysiąclecia starszych, niż Biblia, czyli t. zw. Pismo Święte żydowsko - chrześcijańskie, znajdujemy bardzo szczegółowe opisy obrzędów dorocznego wywoływania ognia.



Dokonywał tego kapłan przy pomocy tarcia dwóch kawałków drzewa. Oczywiście, jak wszystkie obrzędy religijne, odbywało się to przy towarzyszeniu usilnych modłów zarówno kapłana, jak wszystkich obecnych, którzy chórem śpiewali pieśni, wzywając boga, aby zstąpił na ziemię. Tym ludziom religijnym wydawało się, że drzewo zapala się nie od tarcia, lecz że dzięki ich modlitwom bóg-ogień — syn słońca — zstępuje z nieba na ziemię.

Odbywało się to raz na rok w dzień zimowego przesilenia słonecznego, czyli w dzień zwany bożym narodzeniem. Wywołany w ten sposób ogień był potem w każdej rodzinie starannie przechowywany i biada tej żonie, która by pozwoliła wygasnąć świętemu ognisku domowemu.

Do świętego wywoływania ognia służyło specjalne narzędzie, złożone jakby z piasty z czterema rozchodzącymi się z niej szprychami. Miało to kształt krzyża równoramiennego z piastą pośrodku. W otwór tej małej piasty kapłan wprowadzał patyk, którym bardzo szybko obracał tak długo, aż patyk od tarcia zapalił się.

Kapłan, wywołujący ogień, nazywany był cieślą i uważany był za ziemskiego ojca świętego ognia którego ojcem rzeczywistym miał być sam bóg-słońce. Matką ziemską boga-ognia była piasta, która nazywała się Maja. Obrządek wywoływania czyli — jak mówili ludzie religijni — sprowadzania ognia na ziemię odbywał się o północy w szopie, czyli w szopce, w której również znajdowały się święte zwierzę-

ta — wół, względnie krowa i osioł. Gdy pod rękami kapłana-cieśli z piasty, czyli z Mai, pojawiały się pierwsze iskierki ognia, wnet wszyscy obecni poczynali chórem śpiewać radosną pieśń bożego narodzenia, a pod iskierki podstawiali pęczek suchego siana, czyli przyjmowali nowonarodzonego boga na siano, które wybuchało jasnym płomieniem i całą szopkę blaskiem napelniało.

Po „sprowadzeniu“ świętego ognia na ziemię wszyscy zasiadali do wieczerzy radosnej i, pieśni śpiewając, cieszyli się z bożego narodzenia.

Podług mniemania wierzących Hindusów w tę noc świętą moce djabelskie nic złego człowiekowi zrobić nie mogły. Wszystkie złe duchy musiały ustąpić przed siłą boga, który dla zbawienia ludzi zszedł na ziemię z wyżyn niebiańskich.

Jakieśmy powiedzieli, te podania i obrzędy zawarte są w księgach o parę tysięcy lat starszych, niż ewangelje chrześcijańskie, nie może więc być mowy o tem, aby było to powtarzanie lub przekręcanie podań ewangelicznych.

Dzień 22, 24 lub 25 grudnia, czyli dzień zimowego przesilenia słonecznego czczony był, jako dzień święty, na tysiące lat przed powstaniem chrześcijaństwa, w Indjach starożytnych, w Egipcie, a potem w Grecji i w Rzymie. Religja chrześcijańska tylko przyjęła ten bardzo stary i we wszystkich krajach świętowany dzień święty, przyjęła prastare podania i obrzędy religijne i przystosowała je do swoich wymagań.



Od lat kilkunastu w niektórych krajach, np. w Niemczech i we Francji, młodzież robotnicza i chłopska wprowadziła zwyczaj organizowania w noc wigilijną, lub w pierwszy dzień Bożego Narodzenia zebrania towarzyskich, mających na celu zastąpić uroczystości religijne. Zebrania te nazywają się uroczystościami zimowego przesilenia słonecznego. Podobne zebrania urządza się również dn. 24 czerwca, czyli na święty Jan. Są to uroczystości letniego przesilenia słonecznego.

Rzecz prosta, że na zebraniach tych nie śpiewa się kolend, ani nie odprawia się żadnych modłów. Nie mają też one nic wspólnego z żadną

religią. Na zebraniu takim zwykle wygłaszane bywa przemówienie naukowe o tem, jakie to wierzenia ludzie w różnych czasach z dniem tym wiązali i na cześć jakich bogów uroczystości w dniu tym odprawiali. Skąd wszystkie te zwyczaje powstały i jak wreszcie upadają, gdy masy pracujące poczynają wydobywać się z mroków przesądów na jasną drogę poznania prawdy naukowej. Po takim przemówieniu, niezadko ilustrowanem pouczającemi obrazami świetlnemi, wszyscy zgromadzeni śpiewają pieśni robotnicze i chłopskie, a potem bawią się wesoło.

Zenon Chmielewski.

---

## Skąd wiemy o życiu ludzi w czasach przedhistorycznych?

O tem, co było przed stu, dwustu laty, przed dwoma, trzema tysiącami lat, opowiadają nam świadectwa bądź pisane bądź ryte na kamieniu lub na wypalonej cegle, bądź pomniki ręką ludzką zrobione: takie piramidy i obeliski Egiptu, lub płaskorzeźby chaldejskie.

Ale skąd możemy poznać wiadomość o człowieku z okresów jeszcze wcześniejszych, który nie pozostawił po sobie żadnej wiadomości, bo nie znał jeszcze umiejętności pisania, ani wznoszenia pomników? Zatrzymując się chociażby nad krajem naszym, skąd wiemy, jak ludzie żyli, czem walczyli, jak mieszkali za czasów wyprzedzających o całe stulecia i tysiąclecia początki państwa polskiego?

Zdawać się mogłoby, że niema sposobu dowiedzenia się czegokolwiek o tych czasach wcześniejszych, np. o czasach pogańszczyzny w Polsce.

Jednak znalazły się świadectwa, które odsłaniają przed nami te czasy zamierzchłe.

Nie mówią nam wprawdzie one o jakimkolwiek nazwisku, o jakimś zdarzeniu poszczególnem. Podają natomiast wiadomość o rzeczach z życia codziennego: o tem, w jakich miejscach człowiek wtedy zamieszkiwał, z czego robił narzędzia swoje i oręż, czem się żywił, w jaki sposób grzebał zmarłych.

Tych świadectw pełno na ziemi naszej.

Jeżeli będziecie, chodząc po wyd-



mach, podejmowali leżące tam kawałki krzemienia, zwłaszcza, jeżeli te wydmy leżą w okolicy odludnej i są mało uczęszczane, znajdziecie okazy, które was odrazu muszą zastanowić. Niektóre krzemienie, niewielkich rozmiarów, posiadają postać jakgdyby długiego, a wąskiego liścia i noszą na sobie wyraźne ślady tego, że człowiek, nie zaś przyroda jest twórcą tych kształtów. Są to ostrza od dawnych strzał, wypuszczanych z łuku. Znajdziecie tam inne krzemienie, dość grube, mające koniuszcek jakgdyby służył do świdrowania, jeszcze inne okrągłego kształtu, z krawędziami tak ociosanymi, że mogą być użyte jako skrobaczki, jeszcze inne wąskie a długie, które zastępowały noże dzisiejsze. Na wydmach znajdziecie je rzadko w takiej całkowitej postaci: znalezione kawałki krzemienia to ułamki zazwyczaj większego narzędzia, ale w jaskiniach ojcowskich i w wielu innych miejscach znaleziono takie noże krzemienne, takie świdy, skrobaczki i strzały, zupełnie nieuszkodzone, niekiedy prześlicznie wykończone. W przyszłym muzeum narodowym będziecie mogli oglądać całe gromady takich narzędzi uporządkowane i ustawione. Obok nich znajdziecie siekiery z kamienia, różnych kształtów, jedne osadzone na drzewcu, jak nasze siekiery dzisiejsze, inne wbijane w drzewce. Te narzędzia i oręż cofają nas do czasów, gdy przodkowie nasi nie znali jeszcze żelaza, a narzędzia wyrabiali swoje z kości, ciosali z kamienia i krzemienia lub posługiwali się drzewem. Na tych samych wydmach odnajdziecie skorupki garnków, nie-

zmiernie grube i bardzo źle wypalone, z mnóstwem drobnego, połupanego kamienia w glinie. Będziecie mieli bardzo prostacze szczątki garnków dawnych, które w piasku przeleżały wiele wieków, nim podnieśliście je ręką.

Ale wydmy są niewdzięcznym miejscem do poszukiwania świadectw o wiekach ubiegłych. Tam nietylko czasy zamierchłe pozostawiły po sobie spuściznę, ale i wieki późniejsze coś dołożyły. I chwila dzisiejsza robi to samo w dalszym ciągu. Wszystko to jest pomieszane z sobą, pogmatwane, a przede wszystkim doszło do nas w pokruszonych kawałkach. Powiedziałybyś: księga, z której pozostało po parę wierszy z różnych stron: O wiele wdzięczniejsze są grobowce poszczególne, a tembardziej całe cmentarzyska. Zazwyczaj o nich nic nam nie mówi na powierzchni ziemi: wieki starły wszelki ślad dla oka. Natrafiamy na nie przypadkowo. To, oracz, orząc ziemię, to kopacz, kopiąc rów, natrafia na szereg kamieni, tworzących koło, lub na skrzynkę ułożoną z głazów, a w nich leży kościotrup, przy kościotrupie różne przedmioty; to znowu znajduje na niewielkiej przestrzeni kamień przy kamieniu, płasko ułożone, a gdy te kamienie usunie, odsłoni naczynie z gliny, nieco spławionych od ognia kawałków brązu i garstkę spopielonych kości. Rozmaitość tych grobowców na ziemiach polskich jest wielka, przytoczyliśmy dla przykładu dwie, trzy odmiany. Są pomiędzy nimi grobowce ciepłe: zmarłego palono i grzebano jego popioły, kładąc do naczynia różne jado, zasypując to ziemią



i pokrywając kamieniami. To znowu grzebano zmarłego, nie paląc jego ciała.

Z tych grobowców uczeni mogli odczytać wiele zwyczajów naszej przeszłości. Wiedzą, iż zazwyczaj obrządek pogrzebowy zmieniał się z biegiem czasu bądź dla tego, że ludność przeszła do innych zwyczajów, bądź że zamiast dawnej ludności nastąpiła nowa. Z kształtów naczyń glinianych, które zowią się urnami, z natury ozdób znalezionych, z kształtów narzędzi mogą dociec, czy rzeczy te robiono u nas w kraju z własnego natchnienia, czy przybyły skądinąd w drodze wymiany lub powstawały u nas przez naśladowanie wyrobów obcych. Ilekroć dojdzie wiadomość do archeologów, iż w jakiejś okolicy natrafiono na takie świadectwa o dawnych czasach, natychmiast uczeni, zajmujący się tego rodzaju badaniami, zjeżdżają na miejsce, ostrożnie odkopują grobowiec, badają tam każdy szczegół i zapisują go. Niestety, tylko o niewielu takich znaleziskach dowiadują się oni. W większej liczbie przypadków ten, który znalazł takie ślady, niema pojęcia o wartości swego odkrycia. Jak wieprz, przyszedłszy do ogrodu, poryje ziemię, tak on skopie wszystko, szukając urojonych pieniędzy, porozbija urny, poniszczy inne szczątki. Ilekroć to takich świadectw o przeszłości zniszczyła ręka ciemnego, niewykształconego człowieka!

Są jeszcze na ziemi naszej inne świadectwa: w jaskiniach ojcowskich. Dno niektórych tych jaskiń na pewnej głębokości składa się z różnego rodzaju pokładów. Istnieją tam pokłady będące całkowicie

dziełem obecności człowieka: złożyły się na nie popioły ognisk, kości zwierząt, odrywające się z góry glazy i t. d. U nas jaskinie są nieliczne, ale są kraje, gdzie istnieją na głębokości kilkunastu metrów pokłady takie zawierające szczątki człowieka, narzędzia jego ręki, kości zwierząt mu współczesnych. Gdy mowa jest o przeszłości, to można przyrównać jaskinie do tak dobrze zachowanego rozdziału zaginionej książki, że pozwala odtworzyć niektóre strony bytu człowieka ówczesnego, człowieka, który od nas jest odległy o całe dziesiątki tysięcy lat. Są jeszcze i inne świadectwa o przeszłości: owe sławne pokłady śmieci i odpadków w jeziorach szwajcarskich, z których sterczą setki pali, podtrzymujących niegdyś domostwa nadwodne dawnych mieszkańców.

Powtarzamy: są jeszcze inne ślady po człowieku dawnych czasów, ale o tem wszystkim rozprawić nie będziemy, tembardziej że takie osiedla nawodne są w kraju naszym rzadkością i w naszej Kwaczale i Babicach były zbudowane według zgoła innych zasad. Poprzestaniemy na tem, cośmy powiedzieli. Przyczynkiem swoim chcieliśmy pouczyć, skąd nauka czerpie wiadomości swoje o człowieku, który jeszcze nie pozostawił po sobie opowieści w piramidach, obeliskach, w rytych na kamieniu i malowanych pismach obrazowych, a powtóre zwrócić uwagę czytelników na pamiątki zamierzchłych wieków, które może istnieją w pobliżu Was, obok których obojętnie przechodzicie lub które niebacznie niszczyacie.

**Ludwik Krzywicki.**



## Chłopi a powstanie listopadowe

Podczas obchodów uroczystych, urządzanych z okazji rocznicy powstania 29 listopada 1830 r., dużo mówi się zwykle o tem, jak to CAŁY naród powstał przeciwko najeźdźcy rosyjskiemu, jak mężnie bili się chłopi, jak dzielne było dowództwo, jak bohaterski sejm i senat i t. d. Organizatorzy tych uroczystości zwykle starannie przemilczają stosunki społeczne w Polsce ówczesnej, milczą o tem, jakie było położenie chłopów i jak powstańczy rząd polski odnosił się do słusznych żądań chłopskich.

Były to czasy pańszczyzny. To znaczy, że szlachta do pracy na swoich folwarkach nie najmowała robotników, jak to dzieje się dzisiaj, lecz kazała chłopom darmo pracować na pańskim. Ta chłopska praca darmowa nazywała się pańszczyzną. Ilość dni pańszczyźnianych w tygodniu była różna w różnych okolicach. Bywało po 3, po 4, po 5, a niekiedy nawet po 6 dni pańszczyzny w tygodniu, czyli że chłop tylko w niedzielę mógł coś nie coś dla siebie i rodziny w ziemi zrobić. Cała ziemia uważana była za ziemię pańską, i chłop obrabiał pańszczyznę za to, że pan pozwalał mu kawałek pańskiej ziemi na jego potrzeby uprawiać. Chłopom przytem niewolno było wydaleć się ze wsi i np. przenosić się na zarobek do miast.

Takie zwyczaje panowały niegdyś w całej Europie.

We Francji zniosła je wielka rewolucja roku 1789, która nadała

ziemię chłopom. Chłopi francuscy zostali uwolnieni od pańszczyzny zarówno wskutek tego, że prowadzili bardzo zaciekłą walkę z panami i mnóstwo pałaców jaśniepańskich puścili z dymem, a panów wymordowali, jak i wskutek tego, że powstające właśnie wówczas po miastach fabryki potrzebowały dużo robotników, których można było dostać tylko po uwolnieniu chłopów. Uwolnieni od pańszczyzny chłopi napływali do miast i zostawali najemnymi robotnikami fabrycznymi.

W Polsce w roku 1830 fabryk niemal jeszcze nie było, a masa chłopska była ciemna i tak zahukana przez panów i księży, że z bierną pokorą znosiła najgorsze pańskie znęcania się. I do Polski jednak dochodziły odgłosy rewolucji francuskiej. Potajemnie opowiadano sobie po chatach, że w innych krajach jest inaczej, że chłopi zdobyli ziemię i że pańszczyzny nie odrabiają. Z sąsiednich Prus dochodziły wieści, że tam sam rząd, bojąc się, aby nie doszło do tego, co było we Francji, kasuje pańszczyznę i nadaje chłopom ziemię. A przynaglają go do tego fabrykanci miejscy, bardzo łasi na taniego robotnika, tłumnie napływającego do miast po zniesieniu pańszczyzny.

Sami panowie w Polsce także coś przebąkiwali o zniesieniu pańszczyzny. Niektórzy z nich proponowali, aby zamiast pańszczyzny wprowadzić tak zwane oczynszowanie chłopów. Znaczyło to, że chłopi



zwolnieni byliby od pańszczyzny i mogliby wydać się do miast, czy wogóle przenosić się z miejsca na miejsce, ale za ziemię musieliby płacić panom dzierżawę. Projekty takie powstawały w głowach niektórych panów zgoła nie z miłości dla chłopów, lecz dlatego, że w ten sposób gospodarstwa pańskie przynosiłyby większe dochody. Mówili oni, że pod batem ekonomicznym i bez żadnej zapłaty chłop pracuje bardzo niechętnie i, choć dużo chłopstwa na pańskie pola wychodzi, zrobione jest bardzo niewiele. Przy oczynszowaniu zaś pan otrzymałby od chłopów więcej pieniędzy, niż przedtem dawała mu ich praca darmo. Nietylko starczyłoby mu tego na opłacenie robotników najemnych, ale jeszcze na tem uwolnieniu chłopów dużyby zarobił.

Ogromna jednak większość szlachty nawet na takie zmiany zgodzić się nie chciała i uważała, że pańszczyzna winna pozostać, jak za dawnych „dobrych“ szlacheckich czasów.

Nie można się dziwić, że w takich warunkach chłopci wobec rozbioru Polski zachowywali się zupełnie obojętnie. Przecie dla nich nic się nie zmieniło: — pod panowaniem cara rosyjskiego znajdowali się w takim samym położeniu, jak pod panowaniem króla polskiego. Naprawdę bowiem zawsze byli pod panowaniem panów — szlachty, przeciwko którym darmo szukałby chłop sprawiedliwości czy to w sądach szlachecko-polskich, czy w szlachecko-rosyjskich.

Dla cara rosyjskiego chłop polski roku 1831 żadnej przychylności nie

miał, bo przecie w Rosji była również pańszczyzna i zwycięstwo cara nic dobrego chłopom polskim przynieść nie mogło.

To też, kiedy wybuchło powstanie listopadowe, masy chłopskie zupełnie niem się nie interesowały.

Historyk burżuazyjny, a więc raczej przychylnie dla szlachty przedstawiający sprawę, J. Grabiec pisze o chłopach ówczesnych:

»Bez oporu szli w rekruty poddawali się poborowi wojskowemu, lecz gdy powoływano ochotników do partyzantki, opierali się, żądając zniesienia pańszczyzny».

Takie zachowanie się chłopów wielce martwiło kierowników powstania, którzy chcieliby, aby wszystko chłopstwo masowo i z ochotą zaciągało się do wojska. Przemysłiwali więc nad sposobami znęcenia chłopów. Chcieli w masie chłopskiej obudzić nadzieję na polepszenie losu, aby w ten sposób skłonić chłopów do dania podatku najważniejszego, podatku z krwi synów chłopskich.

Inny historyk burżuazyjny, Aleksander Świętochowski pisze o owych czasach, że, póki wojska rosyjskie stały daleko od Warszawy,

«sejm zachowywał śmiałość i odsuwał od siebie myśl o ulgach i darach dla ludu. Ale gdy przy końcu lutego (1831) krwawa bitwa grochowska (pod samą Warszawą) otworzyła Rosjanom drogę do dalszego podboju i umożliwiła im przysunięcie się do Warszawy, ogarnęła postłów trwoga, chęć ucieczki w bezpieczne schronienie i gotowość do ustępstw chłopom, potrzebnym do powstrzymania wroga».

Ze 125 postłów sejmu ówczesnego pozostało w Warszawie tylko 33, a wszyscy inni uciekli. Tych 33 uznano się za sejm prawomocny i, chcąc



koniecznie jakoś zjednać sobie chłopów, wniosło na porządek dzienny sprawę uwłaszczenia. Ale nawet w tem nielicznem gronie sprawa bynajmniej nie była łatwa. Jak pisze Świętochowski,

»rozpoczęła się długa, nużąca, polityczna, niszcząca, wykrętna, chwilami bezwstydną dyskusja, która trwała dwadzieścia dni«.

I nad czem tak dyskutowano? Czy może nad całkowitem uwłaszczeniem chłopów? Nie, tak daleko nie szły projekty tych, co chcieli czemś przynęcić chłopów. Szło o to, aby uwolnić od pańszczyzny tylko chłopów w majątkach rządowych.

W majątkach zaś prywatnych, stanowiących olbrzymią większość, wszystko miało pozostać postaremu. Ale i na to szlachta zgodzić się nie chciała. Według Świętochowskiego minister spraw wewnętrznych takimi słowami przekonywał w sejmie opornych dziedziców:

«Robocizny i daniny włościan według miernych cen obrachowane i na kapitał obrócone stanowiłyby przynajmniej podwójną wartość tej ziemi w stosunku cen zwyczajnych w każdej okolicy »

Czyli, że nowe prawo było tak ułożone, aby na tem dobrodziejstwie danem chłopom dziedzic jeszcze dobrze zarobił.

Ale szlachta widocznie obawiała się, że jak chłopci z majątków rządowych będą się mieli nieco lepiej, niż w majątkach prywatnych, to i od właścicieli prywatnych zażądają uwolnienia od pańszczyzny.

Wobec tego minister spraw wewnętrznych, chcący koniecznie wystawić jakąś przynętę dla chłopów, usiłował uspokoić panów i dowodził, że chło-

pom wcale znacznie lepiej działać się nie będzie. Mówił on:

»Włościjanin może przenieść swą nędzę z jednego miejsca na drugie, lecz nigdzie nie trafi na pomyślność...»

Znaczyło to, że chociaż nowe prawo pozwalać będzie chłopom dóbr rządowych na przenoszenie się z miejsca na miejsce, ale nędza ich przez to zniesiona nie będzie. Choć chłop zmieni miejsce zamieszkania, nędza pòjdzie za nim wszędzie. A na utrzymaniu tej nędzy właśnie panom zależało.

Na pierwszy rzut oka dziwna się wydaje taka szczerłość ministra. Tłomaczy się to jednak tem, że w sejmie ówczesnym, nie było ani jednego przedstawiciela chłopów; chłopci w owych czasach gazet nie czytali, bo i czytać nie umieli, i ani jednej gazety chłopskiej nie było, panowie więc radzili sami między sobą. Wobec tego mówili znacznie szczerzej, niż dzisiaj, kiedy rzeczywiste zamiary swoje dużo staranniej muszą ukrywać.

Po dwudziestu dniach takich targów z dziedzicami sejm uchwalił wreszcie uwolnienie chłopów, ale wyłącznie w dobrach rządowych.

Tymczasem jednak sytuacja na froncie nieco się zmieniła. Wojska rosyjskie zostały odparte od Warszawy, zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło, i posłowie, którzy uciekli, wrócili do sejmu. Wówczas panowie szlachta doszli do wniosku, że chłopom dali za dużo. Wznowiono więc w sejmie rozprawy nad sprawą chłopską i ostatecznie obalono nawet te nikłe ulgi dla chłopów, które uchwalił sejm w dniach wielkiego strachu.



Wkrótce potem powstanie upadło. Na los chłopów nie wpłynął ani wybuch powstania, ani jego upadek. Po powstaniu tak samo, jak przedtem, pozostali oni pozba-

wioną wszelkich praw masą roboczą, wydaną na niczem nieskrępowany wyzysk, a często i okrucieństwa dzieciaków.

Michał Pankiewicz.

---

Stefan Żeromski

## Słowo o Bandosie

(Urywki)

W podgórskich, kamienistych działkach kieleckich, na jałowych sapach, przez które sączy się zaskórna woda z żelaznych rudawisk, na radomskich piaskach podsośnianych, na opoczyńskich krajach — smętniskach, gdzie się „korzec sieje, kopę zbiera, a kopa korzec daje” — hoduje się dola bandosa.

... Gdy się poczyna okrutny, nikomu i niczemu nie przepuszczający przednowek wychodzi bandos w dal, — za Pilicę — rzekę, „w pszenne kraje”.

W pustych wioskach kieleckich zostaje jeno dziad strúpieszaly, oślepla, kudłata babka, koślawiec, niemowa, lub obłąkana latawica. Bywa wtedy, że opuszczony stary człowiek prosi się z głodu i biedy o śmierć, jak o łaskę. Bywa wtedy, że bezsilni ludzie żywią się mąką z kory olszowej w żarnach mielonej, mleczem ziarna ledwie okwitłego żyta, garsteczką kaszy mannianej o białej rosie osmykniętej na cudzej łące.

Ciemne chaty z nisko nawisłym czarnym dachem, głucho zamknięte kluczem drewnianym na wrzeciędz

budowy zostają same. Drożyny od gościńca do drzwi prowadzące zarastają trawą. Ze wsi ucieka ostatni towarzysz schroniska ludzkiego — wróbel. W inną okolicę wynosi się opuszczony pies.

A za Pilicą, za Wisłą, w „pszennym kraju” słońce pali bandosa grzbiet zgięty od świtu do wieczora. Twardy jest trud całodzienny na skwarze w pańskim polu! Jak mgnienie oka krótki jest sen w parną noc letnią. Od rannej zorzy po sierpem zajętem zbożu rozlega się surowa i wrzaskliwa bandoska pieśń:

«Dobrze temu dobrze, kto komu łeb odrze,  
Jesce temu lepiej, kto kogo «ślepi»..»

Lał się bandosa pot cuchnący w szmaty zgrzebne i w rudą jego sukmanę przez wieki. Żarło go robactwo, okrywał brud i osaczała ze wszech stron tajemnicza choroba, żeby pańskie dzieciątko jaśnie świeciło zdrowem ciałakiem i galanto uczesaniem włoskami. Wykleczały jego kolana żłobowiny głębokie w kamienistych posadzkach wysokich kościołów, wycalaowały jego usta jakoby nowe



rany w Pana Jezusa przebitych nogach po kruchtach, żeby jaśnie pan dostojnie mógł siedzieć przed Bogiem we stalach, dumnie a pewnie spozierać na cichy swój lud a pięknego pogładzać węża.

Taka jest przez wieki nasza rzeczpospolita.

Płakał ongi, przed wieloma wiekami nad żalną dolą żeńców polski poeta:

„Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,

Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego:

Ty wstajesz, kiedy twój czas, jemuby się zdało,

Żebyś ty, o słoneczko, o północy wstało“...

---

„Kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie istanie przed obliczem jego“.

---

Był czas, że bandos oślepie oczy podniósł od gnoju wywalanego na pańskie pole, objął ręce od pługa, przewracającego zagon cudzy. Z klątwą wściekłości na spękanych wargach wyprzągł się był z pańskiego kieratu i wyszedł z czworaczego chlewa, gdzie się jego dzieci pospołu ze świniami tarzają.

Ruszył wtedy za przewodnikiem.

... Nie wiedział, że taki schlebia tylko nędzy, żeby szła za nim i waliła się pod jego stopy, a on zaś stanie na niej, jako na wzniesieniu. Jakże to miał poznać bandos od brudu i nędzy oślepy, kto z wodzów

ma duszę czystą i ręce czyste? Miał-że odepchnąć pochlepcę i wybrać tego, co nie nosi w ustach miodu, lecz gorycz? Jakże miał w tłumie pochlepców poznać tego sprzymierzeńca, co uderza płomiennem słowem w młotek szlachty ze dworów, w szajki fabrykantów, w gromady chłopów, co na swych morgach siedzą, w żywe masy robotników z fabryk, a nawet w pierś niezakrytą jego, bandosa który jest najbardziej ze szmat obdarty w ojczyźnie, chudy jak Chrystus z przydrożnej pasyjki, — jego, co swoją nie może nazwać łyżki drewnianej, którą warzę do ust niesie barłogu, na którym nie dosypia i grobu, w którym po trudzie ma spocząć,

---

... Zaledwie rok upłynął od owej chwili, gdy panowie dziedzice w „pszennym kraju“, w pięknej ziemi lubelskiej zjechali się wielką gromadą w wiekopomnym grodzie, Lublinie. Głęboko w tajemnicy radzić poczęli nad tem, jak, w jaki sposób odebrać drobną podwyżkę parobczańskiej płacy, którą byli parobcy w lecie na panach zmową wymogli. Nałożyli na siebie panowie dziedzice niemały podatek od włóki dla złamania solidarności parobków.

„Zastaw się, a postaw się!“

Ktokolwiek do zmowy ucho podawał, dostał od dziedzica znaczek sekretny, cyferkę na książce służbowej, herb nowego nadania. A każdy taki herbowy wyrzucony został ze służby na zimę. Z książką swą, oznaczoną tajnym, niewiadomym mu herbem szedł od dworu do dworu, szukając pracy, dachu nad głową, czworaczego chlewa, w którymby jego dzieci barłóg mieć mogły i ciepło



zimowego smrodu. Lecz wszędzie go wyszczuwano za bramę. Śmiech go ścigał. Wszystkimi drogami pszennej krainy, ślicznej ziemi lubelskiej snuły się kompanie głodnych wygnańców.

Mądrzy są polscy panowie.

Zupełne jest ich zwycięstwo. Złamali solidarność zmowy ku podwyższeniu płacy o parę rubli na rok, o parę korcy ziarna na życie, o krótszy dzień roboczy, — odtrącili i wdeptali w ziemię żądanie ochrony dla

dzieci, lepszego traktowania dla siebie, lepszego chlewa na legowisko. Głęboki rozum panów wszystko w tym dziele „narodowym“ przewidział. Wrócił się parobek złamany do ich kolan. Padł do nóg pańskich. Znowu musiał przyszwę buta ucałować. Jęcząc, błagał, żeby go znowu na dawnem prawie do kieratu wziąć za płacę, jaką dać raczy dłoń pańska i żeby mógł w czworacznym barłogu znaleźć legowisko.

---

## Choroby zakaźne i ich zwalczanie

Jedną z klęsk, która od niepamiętnych czasów trapiła ludzkość, była wybuchająca co pewien czas „zaraza morowa“. Gdzie się zjawiała zaraza, tam zamierało życie. Osiedla pustoszały, gdyż ludność masowo marła w domach i na ulicach, a kto mógł, opuszczał zarażone wsie i miasta, w ucieczce szukając ratunku.

Dzięki postępowi nauk przyrodniczych i pracy wielu pokoleń wiemy dziś dokładnie, że „zarazy morowe“ nie były niczem innym, jak tylko gwałtownymi epidemjami chorób zakaźnych czyli takich, które udzielać się mogą od chorego człowieka zdrowemu. Były to epidemie ospy, dżumy, cholery.

Gdy stopniowo, na podstawie pewnych stałych objawów i jednakowego przebiegu, nauczono się rozpoznawać choroby, zaczęto gorliwie pracować nad wykryciem przyczyn, powodujących powstawanie tych chorób.

Wynalezienie przyrządu zwanego mikroskopem czyli drobnowidzem, który, dzięki pewnemu połączeniu odpowiednio wyszlifowanych szkieł powiększających (soczewek), pozwala nam dojrzeć najdrobniejsze przedmioty, z powodu swej znikomej wielkości gołym okiem niedostrzegalne, przyczyniło się do wykrycia zarazków, wywołujących choroby zakaźne.

Mikroskop oczom badacza odkrył nowy, nieznany dotąd świat drobnoustrojów, świat bakterij i pierwotniaków. Twory te widziane pod mikroskopem przy powiększeniu do kilkuset razy nie są większe od łepka szpilki. Bakterje są to organizmy jednokomórkowe należące do świata roślinnego, pierwotniaki są to jednokomórkowe zwierzątka.

Niektóre gatunki bakterij i pierwotniaków, dostawszy się do organizmu człowieka lub zwierzęcia, mogą powodować powstawanie rozmaitych chorób.



Ciałko bakterji składa się z tak zwanej zarodki, podobnej do białka, z zawartymi w niej ziarenkami (jąderkami) i jest otoczone błoną (otoczką).

Bakterje, w zależności od gatunku, posiadają różne kształty.

Znamy bakterje o kształcie kulek, układających się w wydłużone szeregi (paciorkowce) albo w nieprawidłowe skupienia, jak winogrona (gronkowce), znamy formy wydłużone (laseczniki) i wygięte (przecinki).

Laseczniki i przecinki często posiadają na końcach albo na obwodzie całego ciała rzęski podobne do krótkich włosków, mogących wykonywać ruchy, na skutek czego takie bakterje są obdarzone zdolnością poruszania się w środowiskach płynnych (krew, woda).

Rozmnażanie się bakterij odbywa się drogą prostego podziału. Bakterja rośnie, aż osiągnie podwójnej wielkości, a wtedy przewęża się pośrodku i dzieli się na dwie o połowę mniejsze osobne bakterje, które dalej rosną i znów się dzielą. Proces podziału i wzrastania odbywa się tak szybko, że w ciągu 24 godzin jedna bakterja wytwarza kilkanaście milionów nowych bakterij.

Każdy gatunek bakterij wywołuje inną, jemu tylko właściwą chorobę. Inne są zarazki duru (tyfusu), inne zapalenia płuc, inne gruźlicy, błonicy (difterytu) i t. d.

Różne zarazki mają odrębne, sobie tylko właściwe, drogi przenikania, wdzierania się do organizmu człowieka lub zwierzęcia: jedne dostają się drogą ust i przewodu pokarmowego, drugie przez narządy oddechowe (nos, gardło), inne znów przez

śluzówki, jeszcze inne trafiają bezpośrednio do krwi przez miejsca okaleczone.

Teraz nasuwa się pytanie, w jaki sposób zarazki wywołują chorobę? Otóż na drodze doświadczalnej przekonano się, że procesy życiowe bakterij powodują powstawanie we krwi chorego swoistych jądów czyli toksyn.

Dzięki postępom nauki, zwanej bakterologią, nauczono się otrzymywać ze krwi wszelkie bakterje chorobotwórcze, a nawet sztucznie je chować na rozmaitych pożywkach czyli materiałach, na których one mogą żyć i rozmnażać się. Nauczono się także otrzymywać jady bakteryjne, toksyny, a zapomocą pewnych sposobów uzyskiwać nawet tak zwane przeciwjady, które obecnie są na szeroką skalę stosowane w lecznictwie.

Pod wpływem jądów bakteryjnych we krwi chorego człowieka lub zwierzęcia, wrażliwego na daną chorobę, wytwarzają się ciała ochronne czyli przeciwjady albo antytoksyny, które posiadają mniejszą lub większą zdolność neutralizowania szkodliwego działania toksyny.

Im więcej wytworzy się antytoksyn, tem korzystniejsze warunki do walki z chorobą posiada organizm. Można sztucznie, wprowadzając do krwi zwierzęcia np. konia stopniowo coraz to większe ilości osłabionych przez ogrzewane toksyn albo zarazków, wywołać powstanie znacznych zapasów antytoksyn. Na tej zasadzie opiera się otrzymywanie surowic leczniczych. Surowica krwi uodpornionego na pewną chorobę zwierzęcia zawiera przeciwjady albo przeciw-



ciała; jeżeli ją więc wprowadzimy do organizmu chorego na daną chorobę człowieka, pomoże ona mu znakomicie do jej zwalczania.

Do najważniejszych surowic leczniczych należą: surowica przeciwbłonicza, przeciwężcowa, przeciwplonicza i t. p. Prócz surowic oddawana stosuje się również tak zwane szczepionki ochronne. Do rzędu szczepionek należy szczepionka ospy otrzymana przez osłabienie zarzązków ospy w organizmie zwierzęcia (krowy). Szczepienie ochronne polega na wywołaniu słabszego zarażenia, które przebiega względnie łagodnie, wpływa jednak na wytworzenie się we krwi ciał ochronnych, które potrafią zwalczyć zarząki ospy, gdyby one po szczepieniu do organizmu wtargnęły.

Ale nie wszystkie bakterje są szkodliwe.

Przekonano się, że niektóre bakterje nie tylko nie szkodzą organizmowi, ale są nawet dlań bardzo pożyteczne. Ograniczamy się do jednego przykładu, zaczerpniętego ze świata zwierzęcego. W żołądku zwierząt przeżuwających (krowy, kozy, owce) żyją bakterje, przetwarzające drzewnik słomy, a więc przerabiające substancje zgoła niepożywne na bardzo pożywny cukier. Prócz tego poznano cały szereg bakteryj, od istnienia których są zależne procesy gnicia, rozpadu ciał zwierzęcych, czyli rozkładu tak zwanych ciał organicznych, oraz procesy fermentacji, jak kwaśnienie mleka, tworzenie się octu i t. p. Te właściwości bakteryj dzięki postępowi nauki zostały na szeroką skalę wykorzystane w przemyśle i rolnictwie.

Widzimy tedy, że podczas gdy pożytecznym bakterjom człowiek kazał pracować dla siebie, szkodliwym, chorobotwórczym wypowiedział wojnę nieubłaganą.

Ażeby móc skutecznie wroga zwalczyć, należy najpierw dobrze go poznać i wybać jego słabe strony.

W celu skutecznego przeciwdziałania chorobom zakaźnym, należało nie tylko poznać zarząki, ale przekonać się także, jakie warunki sprzyjają powstawaniu i rozpowszechnianiu się chorób.

Przekonano się, że choroby zakaźne panują wszędzie, gdzie istnieją warunki korzystne dla życia i rozwoju bakteryj, a to znaczy tam, gdzie stłoczenie ludności, nędza i brud są największe.

Bakterje żyją w wodzie, w ziemi, w wydalinach ludzi i zwierząt, mogą, przyłgnięte do drobnych cząsteczek pyłu, unosić się w powietrzu. Sprzyjającym warunkiem dla rozwoju bakteryj jest wilgoć i brak światła.

Bakterje wyschnięte zazwyczaj szybko giną i wtedy przestają być niebezpieczne. Wyjątek pod tym względem stanowią bakterje wytwarzające zarodniki, czyli formy specjalnie przystosowane do przetrwania okresów suszy: Prostopadle promienie południowego słońca w ciągu 2 — 3 godzin zabijają bakterje. Ciepłoty powyżej 100° C. i poniżej 0° również dla większości bakteryj są zabójcze. Różne chemikalja, kwasy np. działają niszcząco na ciało bakteryj, są jednak takie bakterje, jak laseczniki gruźlicy, które są na działanie kwasu odporne, ponieważ posiadają rodzaj otoczki woskowej, nie rozpuszczającej się w kwasach.



Z wyżej przytoczonych faktów wysnuto wnioski, dotyczące środków walki z chorobami zakaźnymi.

Środki można podzielić na ściśle lekarskie i środki natury społecznej.

Do walki z chorobami są powołani lekarze, uzbrojeni w najnowsze zdobycze nauki oraz środki lecznicze ochronne, organizacje społeczne, jak Kasy Chorych, szpitale, domy zdrowia, przychodnie i. t. d. W ten sposób chorzy mogą otrzymywać możliwie szybką i dobrą pomoc fachową, jak również na czas trwania niebezpiecznych objawów choroby zakaźnej mogą być oddzieleni od otoczenia zdrowego.

W ostatnich czasach na czoło wiedzy lekarskiej wysunęła się higiena czyli nauka o zachowaniu zdrowia i sposobach zapobiegania chorobom.

Higiena daje wskazówki, jak należy postępować, ażeby osiągnąć normalny rozwój fizyczny i zdrowie do późnej starości zachować. Istnieją specjalne działy higieny: higiena pracy, mieszkaniowa, szkolna i t. d. Należy jaknajwiększe masy ludności zapoznać z zasadami higieny, ale oprócz tego trzeba oczywiście stwo-

rzyć warunki, któreby pozwalały te zasady w życiu codziennem stosować.

W tym punkcie natrafiamy na trudność największą. Mało jest bowiem wiedzieć, że izba mieszkalna powinna być przestronna, widna i sucha, że każdy człowiek powinien posiadać osobne łóżko do spania, że w celu uniknięcia przeziębień należy mieć ciepłą kapotę i ciepłe buty, że odżywianie się kartoflami i chlebem nie wystarcza do zachowania sił koniecznych dla zdrowia — trzeba mieć możliwość tak życie urządzić, żeby słuszne wskazania higieny mogły stać się udziałem rzesz pracujących.

To zaś przy dzisiejszych zarobkach dla ogromnej większości ludzi jest niemożliwe.

Widzimy teraz, jak sprawa, na pierwszy rzut oka, specjalna lekarska wiąże się ściśle z całym mnóstwem zagadnień o charakterze społecznym i jak doniosłe znaczenie dla zdrowia mas mają wszystkie poczynania dążące do poprawy warunków życia i pracy.

**Dr. Adolf Rzańnicki.**

---

## Wyniki spisu inwentarza żywego w Polsce

Wszyscy zapewne nasi czytelnicy więcej przypominają sobie, że mniej więcej rok temu — w pierwszych dniach grudnia — był przeprowadzany po wsiach w całej Polsce spis inwentarza żywego. Chodzili po

wsiach od gospodarstwa do gospodarstwa różni przedstawiciele władz gminnych i zapisywali dokładnie, ile każde gospodarstwo posiada koni, krów, świń i owiec. Arkusze spisowe zostały przesłane do odpowiednie-



go urzędu w Warszawie, który z kolei zajął się ich dokładnem opracowaniem, poczem ostateczne wyniki opracowania ogłosił w wydanej przez siebie książce pod tytułem „Inwentarz żywy w Polsce“. Jak roztworzyć taką książkę — podobnie zresztą, jak i inne książki wydane przez urząd zwany statystycznym — napotyka się długie szeregi liczb i liczb, które — zdawałoby się — mogą być ciekawe tylko dla jakichś tam urzędników — statystyków, co to chcą — nie wiedzieć poco — koniecznie wszystkó liczyć i liczyć. Czegoby się tam mógł ciekawego z podobnej książki dowiedzieć zwyczajny człowiek?

Postaramy się przekonać naszych czytelników, że wiele ciekawych rzeczy ukrywa się w owych długich szeregach liczb, byleby tylko umieć odpowiednio je odczytać. W naszym piśmie — w każdym nieomal numerze będziemy dzielić się z naszymi czytelnikami tem, co wyczytamy z liczb zawartych w jakiejś statystycznej książce, wybierając rzeczy najbardziej godne poznania. Do takich należą z pewnością wyniki ostatniego spisu inwentarza żywego w Polsce.

Liczba gospodarstw, w których spisano inwentarz żywy, wynosi 3 miliony 650 tysięcy. Tyle jest zatem samodzielnych gospodarstw rolnych w Polsce. A koni w wieku roboczym (3 lata i wyżej) jest tylko 3 miliony 450 tysięcy to znaczy mniej, niż gospodarstw. Wynika to stąd, że milion 600 tysięcy gospodarstw rolnych nie posiada ani jednego konia: Innemi słowy na każde sto gospodarstw rolnych w Polsce aż 44 gospodarstwa czyli prawie co drugie gospodarstwo jest w takiej nędzy, że

nie stać go na utrzymanie jednego nawet konia.

W liczbie owego miliona 600 tysięcy gospodarstw, które nie posiadają ani jednego konia, przeszło 500 tysięcy gospodarstw nie posiada również ani jednej dojnej krowy (3 lata i wyżej). Słowem na każde siedem gospodarstw rolnych w Polsce jedno jest w nędzy tak zupełnej, że nie stać go na utrzymanie nawet jednej dojnej krowy. Te proste liczby wykazują nędzę wsi polskiej w sposób bardziej może wyrazisty, niż długie narzekania i niekończące się skargi. Uprzytomnić sobie bowiem należy, że na każdym takim gospodarstwie rolnem głoduje jedna, a czasem i więcej rodzin chłopskich. Jak zaś szerokie masy chłopskie znajdują się w ciężkim niedostatku, o tem świadczyć może fakt, że aż milion 700 tysięcy gospodarstw rolnych — to znaczy 47 gospodarstw na każde sto — posiada tylko jedną dojną krowę. Dodając razem gospodarstwa bez krowy dojnej i gospodarstwa z jedną krową dojną, stwierdzamy, że dwa miliony 200 tysięcy gospodarstw chłopskich — a więc rodzin zapewne jeszcze więcej — bądź nie posiada wcale krowy bądź posiada tylko jedną krowę. W świetle tych liczb upada wzupełności rozpowszechniona szeroko legenda o dochodach czerpanych przez małe gospodarstwa chłopskie z hodowli bydła.

Z dalszego wczytywania się w dane spisowe okazuje się, że wśród owych dwóch milionów 200 tysięcy gospodarstw chłopskich, posiadających co najwyżej jedną krowę, przeszło połowa gospodarstw to jest z górą



miljon 100 tysięcy nie posiada ani jednej sztuki trzody chlewnej. Prostu nie stać ich na hodowanie ani jednego świniaka. I takich gospodarstw jest aż trzy na każde dziesięć czyli prawie co trzecie gospodarstwo w Polsce.

Wśród dwóch milionów 50 tysięcy gospodarstw rolnych, posiadających jednego lub więcej koni roboczych, milion 320 tysięcy posiada tylko po jednym koniu, 640 tysięcy tylko po dwa konie, a jedynie jakieś 90 tysięcy czyli wszystkiego co czterdzieste gospodarstwo w Polsce po trzy i więcej koni. Jeżeli przypomnimy sobie, że milion 600 tysięcy gospodarstw rolnych nie posiada ani jednego konia, okaże się, że prawie 3 miliony gospodarstw rolnych — czyli prawie 80 na każde sto — bądź nie posiada wcale bądź posiada tylko jednego konia w wieku roboczym. Parę koni roboczych posiada jedynie co szóste gospodarstwo, parę koni lub więcej, niż parę, co piąte gospodarstwo w Polsce. Stosunki te podobnie, jak wszystkie zresztą wyżej opisane, wyglądają bardzo różnie w różnych częściach kraju. W takim np. województwie krakowskim, gdzie nędza chłopska — zwłaszcza w powiatach podgórskich — jest wyjątkowa wielka, można znaleźć powiaty (Wadowice, Wieliczka, Żywiec), gdzie jedynie co czwarte gospodarstwo posiada wogóle chociaż jednego konia roboczego, a para koni należy do takich rzadkości, że można ją spotkać

tylko w jednym gospodarstwie na 50 albo nawet i więcej.

Z 3 milionów 130 tysięcy gospodarstw rolnych, posiadających jedną lub więcej, niż jedną, dojną krowę, milion 700 tysięcy — jak podkreśliśmy już przedtem — posiada tylko po jednej krowie, nie wiele więcej, niż milion, po dwie krowy, wszystkiego 260 tysięcy po trzy krowy i około 160 tysięcy po cztery lub więcej krów. Jak więc widzimy, gospodarstwa posiadające po trzy i więcej krów dojnych należą w Polsce do bardzo nielicznych: mniej więcej spotkać można jedno takie gospodarstwo na dziewięć gospodarstw w Polsce. Należą do takich gospodarstw zapewne wszystkie posiadające po trzy i więcej koni roboczych, a także prawie połowa gospodarstw posiadających po parze koni roboczych.

Możnaby z książki „Inwentarz żywy w Polsce“ czerpać jeszcze bardzo wiele ciekawych liczb, dotyczących ilości i rozmieszczenia zwierząt domowych w Polsce. Nie chcemy jednak zarzucić czytelnika gromadą liczb, którychby już w parę godzin po przeczytaniu zupełnie nie pamiętał. Wolimy podać liczb mniej, ale za to tak je wyraźnie omówić, jak to się stało w naszym artykuliku. Wtenczas bowiem czytelnik najważniejsze z nich tak sobie zapewne przyswoi, że będzie mógł z nich korzystać, ilekroć zechce uprzytomnić sobie lub innym położenie gospodarcze wsi polskiej.

**Stefan Zawadzki.**

---

**Pismo nasze będzie na przyszłość bogato ilustrowane. W tym numerze dajemy tylko 2 ilustracje ze względu na trudności, jakie musimy na początku pokonać.**



## Zapisujcie się na członków-udziałowców „Światła“.

### Twórzcie po gminach i wsiach Koła „Światła“.

Kto zna warunki życia wsi polskiej, zdaje sobie dobrze sprawę z niezwykłych trudności, z jakimi musi się spotkać wszelki samodzielny ruch chłopski pragnący skrzepnąć w organizację.

Wyjątkowe zwłaszcza trudności napotyka po wsiach organizowanie ruchu oświatowego. Tymczasem nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dziś właśnie żywe jest po wsiach dążenie do stworzenia oświatowej organizacji chłopskiej, któraby szerzyła wiedzę w zgodzie z żywotnymi interesami mas chłopskich.

Pobudki tego dążenia zostały trafnie ujęte przez Redakcję w słowie wstępnym do Czytelników. Nie będziemy więc ich jeszcze raz tutaj powtarzać.

W zrozumieniu tych potrzeb i trudności garść oświatowców postawiła stworzyć spółdzielnię, któraby skupiła w jednej organizacji — na równych prawach udziałowców — tych, co oświaty potrzebują, i tych, co jej udzielać mogą.

Założyciele — prof. Krzywicki Ludwik, dr. Fleszerowa Regina, dr. Rząśnicki Adolf, dr. Tarski Alfred, inż. Domański Ignacy, dr. Kaszubski Tadeusz, Giliczyński Bolesław, Sawicka Irena, Paszkowski Tadeusz, Zawadzki Bohdan i wielu innych — uważają, że do nich należało załatwić potrzebne przy założeniu spółdzielni formalności i wezwać szeregi chłopskie do wzięcia w swoje ręce przygotowanej dla nich organizacji.

Spółdzielnia została zarejestrowana w październiku b. r. Zarząd stanowią: Pankiewicz Michał, Paszkowski Tadeusz i Chmielewski Zenon. Do Rady Nadzorczej powołano większość założycieli.

Teraz rozwój spółdzielni zależy jedynie od napływu członków-udziałowców. Z powodu niezamożności wsi polskiej udziały zostały ustanowione tylko na 10 złotych i to płatne — w razie potrzeby — w ratach po dwa złote. Wystarcza dwa złote, aby zostać udziałowcem spółdzielni!

Rzecz prosta — chętnie będziemy widzieli zapisywanie się na członków naszej spółdzielni poszczególnych chłopów, ale okazać owocną pomoc będziemy mogli — ze względu na trudności komunikacyjne wsi — naprawdę tylko tym członkom, którzy w danej gminie — lub lepiej jeszcze



wsi — utworzą Koło złożone z kilkunastu przynajmniej ludzi. Wtedy bowiem będziemy mogli dostarczyć członkom na dogodnych warunkach odpowiednio dobraną biblioteczkę i przysyłać do nich odczytowców, którzy jednocześnie będą udzielać czytelnikom biblioteczki wszelkich wskazówek.

Zjawienie się w danej gminie odpowiedniej biblioteczki oraz szereg ciekawie wygłoszonych odczytów, dostępnych — rzecz prosta — dla wszystkich chłopów, rozszerzy napewno znacznie założone przez Was Koło i pozwoli Wam owocnie pogłębiać swoją wiedzę.

Dlatego też, jeżeli podzielacie nasze zamiary, o b o w i ą z k i e m W a s z y m jest, zebrać się przynajmniej w kilkunastu w Waszej gminie i przystąpić do „Światła“, nadsyłając pod adresem: Spółdzielnia „Światło“, Warszawa, Nowogrodzka 21 spis imienny i dokładne adresy wszystkich zgłaszających się oraz zaliczkę p o d w a z ł o t e na każdy udział. My zaś przysłemy do Waszej gminy czy wsi naszego przedstawiciela, który doręczy Wam udziały i omówi z Wami przysłą pracę.

Jeżeli przed ostatecznym przystąpieniem do spółdzielni, zechcecie się jeszcze bliżej dowiedzieć o jej zadaniach i organizacji, to napiszcie do nas pod wymienionym adresem, a my szybko odpowiemy Wam na postawione w liście zapytania.

Weźcie od nas przygotowaną dla Was organizację.

**Zarząd Spółdzielni „Światło“**

---

Administracja „**Chcę poznać wszystko**“ wzywa do jaknajszybszego nadsyłania prenumeraty na rok 1929 (kwartalnie 1 zł. 50 gr.; półrocznie 3 zł.; rocznie 6 zł.) pod adresem:

**Administracja „Chcę poznać wszystko“, Warszawa, Nowogrodzka 21.**

Jednocześnie Administracja prosi o podanie na kartce pocztowej dokładnych adresów tych Waszych znajomych, którzy w przyszłości zapewne zaprenumerują nasze pismo i którym wobec tego należy nadesłać p r ó b n y n u m e r.

---

Prenumerata wynosi: roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalna (za sześć numerów) 1 zł. 50 gr. Pismo będzie ukazywać się dwa razy na miesiąc: 7 i 22 każdego miesiąca. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowogrodzka 21.

---

Redaktor i wydawca Dr. ADOLF RZAŚNICKI.

---

Druk, J. GRABSKI. Warszawa, Szara 10 Tel. 128-17